NUMER 20. DNIA 14. MAJA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

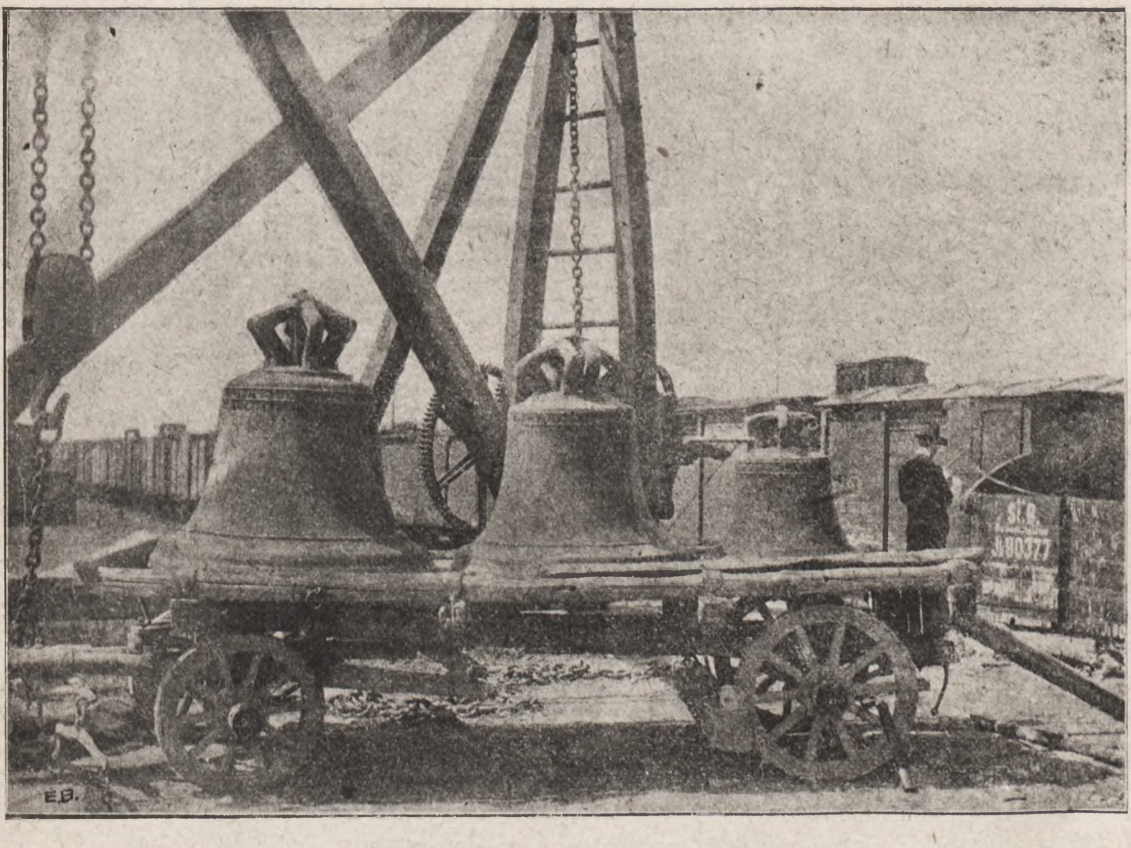
DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

PRZYARESZTOWANE DZWONY.

W bezpowrotnej drodze „na złom“ towarzyszy starożytnym dzwonom z lwowskiego kościoła Dominikanów polemika dziennikarska i wzburzona piętnowaniem barbarzyńskiego i niepatrjotycznego postępku Dominikanów, dla których własna ich przeszłość nie ma, jak widać, żadnej wartości, a pamiątki



DZWONY DOMINIKAŃSKIE PRZYTRZYMANE NA DWORCU KOLEI.

opinja grona konserwatorów. Pod ich naciskiem stanęły owe zabytki, dźwigające na sobie przeszło trzy wieki, na dworcu towarowym i czekają dalszego swojego losu. Tak więc opinja publiczna raz przecież zapobiegła wandalizmowi samem tylko na- wiekowej cywilizacji i kultury żadnego zrozumienia i odczucia. Co jednak najsmutniejsze, to fakt, że nasze duchowieństwo, mające na swem sumieniu masowe wprost niszczenie zabytków naszej przeszłości, nagromadzonych po kościołach, każde takie

napiętnowanie wandalizmu, uważa za „napaść“ na siebie, a tych, którzy to czynią, uznaje nieledwie za wrogów kościoła. Podobnej taktyki próbowąli się chwycić i lwowscy Dominikanie, ale sprawa była zbyt jasna i zbyt skandaliczna, aby ktokolwiek mógł usprawiedliwić karygodne niedbalstwo i nieuctwo.

Dzwony z kościoła Dominikanów zostały więc przyaresztowane na dworcu w chwili, gdy już były zupełnie gotowe do drogi na przetopienie w fabryce niemieckiej. Na wieczną pamiątkę i pokazanie, jaką drogą giną zabytki naszej przeszłości podajemy w reprodukcji ich fotografję, zdjętą na dworcu, na tle akcesorjów nowożytnego ruchu transportowego, w otoczeniu wagonów ciężarowych, maszyn rolniczych i olbrzymiego żórawia, który je miał dźwignąć i ulokować do dalszej podróży. Na tem tle, rysuje się już zupełnie plastycznie cała sprawa, budząc bardzo smutne refleksje nad brakiem pietyzmu i uszanowania dla przeszłości.

Bo przecież te dzwony, których dokładny opis podaliśmy przed paru dniami w „Kurjerze lwowskim“ zapamiętały całe trzy wieki historji Lwowa. Największy z nich, odlany kosztem i staraniem Izajasza Leopolity w r. 1584 i dwa mniejsze z początku XVII w. (r. 1606 i 1607) wydzwaniały z dominikańskiej dzwonnicy trwogę i wesele, pogrzeb i alleluja całym pokoleniom lwowskiego mieszczaństwa, które u Dominikanów najchętniej swe wesela i uroczystości odprawiało i w podziemiach ich kościoła kładło się na wieczny spoczynek. Groby te już dawno rozrzucili Dominikanie dzisiejsi, bo im trzeba było piwnic kościelnych na składy... kartofli, a obecnie przyszła kolej i na dzwony, które przedstawiały dla nich jedynie wartość materjału około 4000 koron. Pewnie, że to suma znaczna, ale tak bogaty i tak hojnie uposażony klasztor, jak Dominikanów we Lwowie, mógł by chyba snadnie zrezygnować z tej kwoty, na rzecz dobra, które wprawdzie nie jest uchwytne, doczesne, ale którego posiadanie tworzy niejako cywilizację i jest jej miarą, jakimś nie parwenjuszowskim zasobem i blaskiem.

Jeżeli gdzie jednak, to w Polsce dzwony ota czane były mistyczną nieledwie czcią. Nieraz się przecież zdarzało, że z dzwonnic kościelnych szły one w służbę Rzeczypospolitej przelane na działa i przeciwnie z pola walki, zdobyte na wrogu, prze lewały się znowu w dzwony, na służbę bożą i ludzką. Na samo wspomnienie takiego naprzykład „Zygmunta w Krakowie silniej uderza każde serce polskie, a ta kich ukochanych, serdecznych dzwonów bywało dawniej wiele po miastach polskich, był i we Lwowie dzwon „Zuzanna“ w katedrze, który spłonął w r 1572, a uważany był za „klejnot“ całego miasta *(insigni et notabili clenodio)*. Największy dzwon, który obecnie Dominikanie skazali na zagładę, pochodzi z tego samego czasu (1584) a jest najstarszym z dzwonów kościelnych we Lwowie, tak samo jak i dwa mniejsze z lat 1606 i 1607.

Obok tej pamiątkowej strony, posiadają dzwony Dominikańskie wartość zabytków lwowskiej sztuki odlewniczej. Lwów słynął onego czasu z odlewnictwa i posiadał własną miejską ludwisarnię, między murem a wałem, obok cerkwi wołoskiej. Z ludwisarni tej i z pod ręki mistrzów lwowskich jak Lenart Hirt, Feliks Zieliński, Kasper Frank i inni, wychodziły dzwony do wszystkich kościołów i cerkwi w województwie ruskiem, odlewały się działa nieraz bardzo pięknie modelowane i ornamentowane, dla wszystkich miast i okolicznych zamków pańskich. Muzeum miejskie posiada kilka okazów lwowskiej sztuki odlewniczej, które budzą podziw znawców. Są to dwa działa z herbami miasta i Polski z lat 1529 i 1534, działo z r. 1630, inne działo fantastycznie modelowane w formie delfina z bramą i lwem lwowskim na grzbiecie, a przedewszystkiem posąg Archanioła Michała, dzieło Kaspra Franka, bardzo pochlebnie świadczące o odlewnictwie lwowskiem. Dziś niema i śladów tego przemysłu u nas i inaczej być nie może, jeśli on ma mieć takich protektorów, jak Dominikanie lwowscy, którzy wolą sprowadzać za drogie pieniądze tandetę z... Wiener Neustadt.

DR. ZOFIA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA.

3)

Społeczne zadania naszej kobiety.

(Odczyt wypowiedziany na dochód stow. pomocy naukowej dla Polek w Krynicy, Szczawnicy i Zakopanem w sierpniu 1904 r.)

(Ciąg dalszy.)

A teraz, omówiwszy bliższe zadania, wypływające bezpośrednio ze stanowiska zawodowego lub z praw i zajęć macierzyństwa, rozpatrzymy dalsze, a nie mniej ważne, zrozumiałe już dziś dla ogółu naszych kobiet inteligentnych.

I tu raz jeszcze zwrócić muszę uwagę na cechy wyodrębniające kobietę od mężczyzny, bo cechy te uzdolniają ją do pewnego szeregu zadań. Każdy zaś pracować powinien w kierunku najmniejszego oporu, jaki wskazuje mu wrodzony pociąg, na instynktach najwyraźniejszych oprzeć powołanie i życiowe cele. Inaczej jałowem i martwem będzie dzieło jego życia, bo nie włoży w nie — duszy. Do zaznaczonych na początku uczuciowości i wyobraźni odtwórczej dodać trzeba większą, niż u mężczyzn wrażliwość na sprawy natury moralnej, silniejszą, że tak powiem, etyczność kobiet.

Wśród różnorodnych prac społecznych, kobietę pociągają najwięcej nie te, które dążą do stworzerzenia nowych warunków ekonomicznych, lecz te, które działają na przeobrażenie dusz ludzkich. Nie umie ona patrzeć na społeczeństwo, jako na mechanizm, szuka wszędzie moralnej strony zgodnie ze swą przeczuloną etyczną wrażliwością, z tą moralnością bardziej subtelną i z owem czujnem sumieniem, które przez wieki całe stało na straży postępków rodziny.

Dla takiej społeczno-etycznej pracy, zaniedbanej w okresie naszych walk narodowościowych i klasowych antagonizmów, sposobności i dróg nie brakuje.

Wspomnijmy o złem, które toczy wszystkie sfery naszego społeczeństwa, zatruwa atmosferę towarzyską, podkopuje organizm, wnosi do stosunków społecznych brutalność, okrucieństwo, nieuczciwość, a co najgorzej obniża poziom moralny i umysłowy ogółu — o alkoholizmie.

Gdy spotkamy zbiedniałą i rozpróżniaczoną wioskę, przekonywamy się, że jedną z głównych przyczyn upadku było tu pijaństwo, gdy spojrzymy na upadający stan rzemieślników, którzy nie potrafili przerzucić się do pracy po fabrykach, lub zawiązać spółki, gdy widzimy upadek coraz nowych dworów szlacheckich, jednym z głównych winowajców był alkohol. Alkohol nietylko zapełnia więzienia, szpitale obłąkanych, domy przytułku, ale uboży rodziny, rozdziela małżeństwa, staje się powodem chorób, nieszczęść, zwyrodnienia, którego ofiarą padają pokolenia całe. Kobiety, u nas zwłaszcza, same najmniej zawiniły w tym kierunku, ale one znosiły i znoszą jego następstwa. Walka z alkoholizmem w nich znaleźć powinna najgorliwsze szermierki. Niech się udadzą do towarzystw abstynenckich, niech się pouczą, że chodzi tu nietylko o walkę z pijaństwem, lecz z wszelkiem używaniem alkoholu, niech się przekonają, że to nie praca inteligencji nad ludem, ale wszystkich warstw społecznych nad własnem swem odrodzeniem, a wygnają z domów i stołów swoich wyskokowe napoje, podejmą zaś walkę z alkoholizmem, jako złem toczącem społeczeństwo.

Podobnie koniecznem i blizkiem dla nich zadaniem będzie walka z prostytucją. Bezpośrednio kobiety występować w niej będą w sprawie kobiecej, a dążyć do oczyszczenia atmosfery moralnej całego społeczeństwa. Ruch abolicjonistyczny liczy dziś za granicą przeważnie kobiety w swoich szeregach, u nas kobiety stworzyć go powinny.

Zwalczanie prostytucji i pijaństwa jest walką beznadziejną, powiesz może czytelniku, bo w wszelkich epokach historji istniał alkoholizm i płatna miłość.

Zło jest zastarzałe, a korzenie jego głęboko wrosły w społeczeństwa ludzkie. To prawda. Ale również prawdą jest, że dopiero nasza epoka przyniosła pojmowanie zła tego, jako sprawy publicznej, a nie prywatnej. O ile człowiek nie czuł bezpośreniego związku swojego z ogółem, mógł mieć przekonanie, że jego obyczajowe i moralne życie do niego tylko należy. Tylko religja, wiara w karę poza grobem była mu hamulcem. Dziś wiemy, że alkoholizm jest jadem dla całych społeczeństw, że domy nierządu i płatna miłość zatruwają pokolenia całe, że jedno i drugie obniża fizycznie, umysłowo

i moralnie typ człowieka. Rumienimy się za to my, co marzymy już o nadczłowieku...

Z taką świadomością zła, toczącego społeczeństwo, łączy się wystąpienie kobiet na arenę życiowych zapasów. Te nowe siły ze świeżym zapałem, z wiarą i umiłowaniem sprawy zwrócić się powinny do oczyszczenia naszej atmosfery moralnej.

Jest to dla Polek pierwszorzędnym narodowym obowiązkiem, bo jest ocaleniem sił, zdolności, ideałów, które nam w zdobywaniu lepszej przyszłości wszystkie są potrzebne. Już dziś podnoszą się głosy, że w Poznańskiem, gdzie wre walka elementu niemieckiego, rozporządzającego wyższością materjalną, a często i umysłową, z polskim, ostatni dzięki swej trzeźwości opór stawiać potrafi, że się rozradza szybciej, gdyż mniej jest od Niemców zalkoholizowany.

W szeregu wielkich ruchów etyczno-społecznych stawia się zwykle ruch za pokojem powszechnym, zainicjowany przez kobietę baron. Suttner i prowadzony głównie przez kobiety w unjach społecznego pokoju.

W naszem wyjątkowem położeniu politycznem trudno jest zająć wobec tej akcji stanowisko. Nie rozstrzygamy ani o pokoju, ani o wojnie, a od pokierowania jednem lub drugiem zależy kwestja państwowego naszego bytu. Nie jest wykluczonem, ażeby międzypaństwowa pokojowa konferencja przyjazne w naszej sprawie zajęła stanowisko, ale jest jeszcze prawdopodobniejsze, że europejska wojna, osłabiwszy wrogów, stanie się naszym sprzymierzeńcem. Nic zatem dziwnego, że kobiety nasze mało się przejmują propagandą pokojową.

Ich pokojowa propaganda ma znaczenie bliższe i ważniejsze zadanie, zadanie, które w pokoju, czy wojnie narodowi użytecznem być musi, a tem będzie w każdej sprawie i na każdem miejscu, w mieście lub na wsi, na zgromadzeniach publicznych, w stowarzyszeniach, czy tylko w stosunkach prywatnych praca wśród ludu, pouczanie go o obywatelskich obowiązkach, oświecanie, budzenie patrjotyzmu, zapału dla wspólnej pracy, przedstawianie ideału wolnej i demokratycznej Polski.

Trudno orzec, który z licznych wchodzących tu celów ważniejszy: przytułki dla położnic, ochrony dla małych dzieci, osady uniwersyteckie, w których jest sposobność towarzyskiego zetknięcia się inteligencji z ludem, wypożyczalnie, stowarzyszenia kształcące, czy zabawy, któreby odrywały od karczmy i rozpusty. Cała ta mrówcza, społeczna praca, przy której jest sposobność zbratania się, zżycia, podnoszenia serc, kształcenia umysłów, skierowania wszystkich dążności i chęci do wielkiego celu narodowego wyswobodzenia i odrodzenia stanowić może i powinna zadanie społeczne kobiety i mężczyzny naszych czasów, przedewszystkiem zaś kobiety, rozporządzającej częściej wolnym czasem, zasobem niezużytej wrażliwości i cierpliwością wyrobioną w przykrych nieraz obowiązkach gospodyni i matki. Obcując z ludem wiejskim i miejskim musi ona dbać nietylko o jego oświatę i dobrobyt, ale przedewszystkiem o budzenie ducha i wyrabianie charakterów. Hart ducha i woli w służbie społecznej, to dopiero młot, wykuwający lepszą przyszłość!

(Dok. nast.)

W. DALECKA.

DOBRY PASTERZ.

(RZECZYWISTOŚĆ.)

„Dobry pasterz za owce swoje odda duszę swoją...“

Zdarzyło się to za czasów wojny francusko-pruskiej.

Właśnie potężna twierdza Metzu padła, Bazaine kapitulował.

Do zrujnowanego, na wpół w gruzy rozwalonego miasta miały wejść zwycięskie zastępy Niemców, objąć w posiadanie i te ruiny i stare, piękne, ocalałe szczątki i ducha starych czasów, i krwawe pobojowisko rozpacznej walki za tę przeszłość drogą.

Lecz Francuzi jeszcze nie wyszli, między zwycięzcami a zwyciężonymi toczyły się ostatnie układy, zdawano wojenne rekwizyty, wymieniano jeńców, wysyłano rannych do głównej kwatery. Żołnierze chodzili bezbronni — odpoczywano, biwakowano, ściągano łupy, skąd się dało. Po wielkich, dniem i nocą nie milknących odgłosach dział i broni ręcznej, nastała nagle cisza — ta straszliwa cisza, jaka rozsiada się zwykle tam, gdzie ręka śmierci się przesunie i przemknie oddech zniszczenia.

I wśród takiej to ciszy, nagle jednego poranku rozeszła się po obu obozach wstrząsająca, niełatwa do uwierzenia wieść. Jednego z dowódców nie-

mieckiej armji znaleziono po nocy zamordowanego. Jakim sposobem zakradł się do namiotu zabójca, i kto to mógł być — trudno odgadnąć. Pośród olbrzymiego obozu — zwycięskiego i zadowolonego — z za mnóstwa placówek i straży, rzecz zarówno trudna była do wykonania, jak i z powodu zawieszania walki, charakter zdrady posiadała. Więc też wzburzenie w obu armjach objawiało się żywo.

Staranne i bardzo ścisłe poszukiwania naprowadziły wreszcie na ślad nocnej wycieczki, dokonanej z ukrytej za wzgórzami wioski Oberhain. Dowódca niemieckiej armji zażądał od Francuzów zadosyć uczynienia sprawiedliwości. Jenerał Bazaine oświadczył, zaręczając słowem, że winowajcy ukarani zostaną z całą surowością.

Natychmiast wysłano oddział wojska, aby wieś otoczyć.

Śmiertelne przerażenie ogarnęło mieszkańców Oberhainu. Myszby się nie prześliznęła, kordon był tak ścisły. Bano się drzwi otworzyć, nie wymówiono głośniej słowa; w martwem struchleniu oczekiwano nieszczęścia. Aż przyszło.

Weszło do chat z bagnetem żołnierskim, z rozkazem od głównego wodza. Wszyscy mężczyźni w wieku od lat ośmnastu do sześćdziesięciu wyjść mają z domów swoich i stanąć na placu we wsi. Powstał popłoch i rozpacz dnia sądnego. Każdy dom zdawał się we wnętrzu swojem być do posad wzburzonym. Niektórzy z mężczyzn wzdragali się, próbowali nawet się opierać — lecz tych kolba i szpada prędko przyprowadzały do porządku, inni, silnie pobladli, drżącemi rękami wdziewali kaftany, nasuwali obuwie, myląc się, nie mogąc przyjść do ładu. Kobiety z głośnym płaczem czepiały się uprowadzanych mężów i synów, lub drzwi chaty własnem ciałem i rozkrzyżowanemi zasłaniały rękami, to wznosząc ku niebu ramiona, wzywały pomsty Bożej, ciskały przekleństwa na żołdaków, na wojnę, na wodzów, na Niemców i na cesarza. Płacz opuszczanych dzieci wybuchał z każdych drzwi. W całej wsi powstał lament bijący w niebogłosy, chaty nawet zdawały się być przytłoczone tchnieniem spuszczającego się na nie nieszczęścia.

Uprowadzanych tymczasem ustawiano w środku wsi, na placu, gdzie oczekiwała już rota żołnierzy, którzy tam ciasnem kołem otoczyli przybyłych, niedopuszczając nikogo do wnętrza. Kobiety i dzieci, cisnące się do środka, kolbą bagnetów wstecz odrzucano.

Gdy już wszyscy byli zebrani, policzono ich, ustawiono w jedną gromadę i czekać kazano. Po niedługiej chwili ozwał się bęben — przed wojskiem stanął oficer z obnażoną szpadą w ręku, z dekretem wodza w drugiej.

Na placu i dokoła, aż do progów otaczających chat, uczyniła się cisza — cisza taka wielka i taka gnębiąca i taka groźna, że oddechy zatrzymały się w piersiach i powietrze samo żadnem tchnieniem drgnąć nie śmiało. W ciszy zabrzmiał głos oficera, spokojny głos wojennego rozkazu, donośny i zimny, jak dźwięk krzyżującej się stali w dalekiem pustkowiu.

„Z powodu morderstwa popełnionego dzisiejszej nocy, przez nieznanych mieszkańców wioski Oberhain na osobie niemieckiego dowódcy, męska ludność rzeczonej wsi ma być zdziesiątkowaną; każdy dziesiąty poniesie karę śmierci przez rozstrzelanie. Wybór odbędzie się przez losowanie. Podpisano: Jenerał Bazaine“.

Skończył.

A cisza trwała. Przez jedną chwilę ani wewnątrz ani zewnątrz kordonu żaden dźwięk, żaden ruch nie poruszył zdrętwiałem powietrzem; rzekłbyś, już śmierć w głazy zakuła i zabójców i ofiary i wioskę całą. A potem, nagle, wybuchnął wrzask — tumult głosów, jęków, łkań... Zakołysał się kordon żołnierzy pod cisnącemi się do środka gromadami kobiet, wyrostków i starców i dzieci.

Ci zaś, w środku, nagle oderwani od spraw codziennych, od rozpoczętych prac w polu, którym każą tu umrzeć za chwilę w najlepszej dobie życiowego rozkwitu i zdrowia — oni stali nieporuszeni, cisi, zaledwo któremu martwo opuściła się ręka lub bezwiednie targała, drżąc, guziki u kamizeli; kolejno zwracali oczy na oficera, na wojsko, na błyszczące lufy karabinów, to po sobie spoglądali, niepewnym, błędnym wzrokiem, wybladli, ze zjeżonymi włosami, nie rozumiejący nic zgoła. Wyrok śmierci? na kogo? Alboż to o nich? Gdzieś — ktoś — daleko — poza świadomością ich umysłu — przecież nie oni!?

Aż zbudził ich głos oficera — jedno słowo, jak granat pękający na szybie lodowej:

— Losować!

I już znalazł się kubek, prosty kubek miedziany, z którego wczoraj czerpano wodę ze źródła dla orzeźwienia się w znoju, dziś urna życia i śmierci dla tych samych spracowanych wieśniaków — już sierżant, już wachmistrz ostrzem szpady cięli wstążki papieru, na jednych czarny krzyż znacząc, drugie zostawiając przedziwnie czyste — gdy nagle jakieś głośne wołanie dało się słyszeć z poza kordonu.

Oficer głowę podniósł, bystro ponad szeregi popatrzył, a dostrzegłszy, natychmiast dał rozkaz wojsku, aby dało przejście przybywającemu.

Przez rozstępujące się szeregi przeciskał się ksiądz. W ręku trzymał kapelusz, z uznojonego czoła wiatr rozwiewał włosy, długie, już srebrne, pot kroplami spływał z zaczerwienionych policzków; po rozmiotanej, u dołu w strzępy poszarpanej odzieży, poznać było, że nie wybierał drogi, że pędził na przełaj, przedzierał się przez zarośla, przebiegał parowy i kamieniste łożyska rwących strumyków. Dopadł wpatrującego się weń oficera i uchwyciwszy się jego rękawa, coś szybko, natarczywie, łowiąc oddech w zdyszane usta, przekładać począł. Błagał — łzy mu w starych oczach zabłysły; w jakiejś chwili drżącą rękę wzniósł w niebo, ni to grożąc, ni to do sprawiedliwości w niebiosach się odwołując. Oficer oczu z twarzy księdza nie spuszczał, surowy i zimny — aż wreszcie skinął zlekka głową, zwrócił się do sierżanta, rzucił jakieś słowo, a potem wojsku dał znak, aby przepuszczono księdza. Kapłan rzucił się w szeregi ponownie i już za chwilę na wzgórku, nad wioską, widna była jego postać z nieosłonioną głową, srebrzącą się pod słońcem, z rozwiewającemi na wietrze fałdami sukni kapłańskiej.

Tymczasem przystąpiono do losowania.

(Dok. nast.)

MARJAN GUMOWSKI. 6)

Portrety Kościuszki.

(Ciąg dalszy.)

Do portretów Kościuszki z roku 1794. należy między innymi także kilka nader ciekawych z tego powodu, że Naczelnik występuje w kontuszu.

Czy to jest historycznie prawdziwem, należy wątpić. Być może, że Kościuszko za lat młodzieńczych, przed wstąpieniem do szkoły kadetów, lub później po powrocie z Ameryki, gdy przesiedział kilka lat na wsi w Siechnowicach, chodził w czamarze i kontuszu, nie chcąc ubiorem cudzoziemskiego jenerała zbyt zwracać oczu na siebie.

Od roku jednak 1789, w którym wstąpił do wojska polskiego, napewno nosił stale mundur i to albo jeneralski polski, albo amerykański. Ponieważ także i portrety, przedstawiające Kościuszkę w kontuszu, nie odznaczają się zbytniem podobieństwem rysów, więc możemy przypuszczać, że są prędzej z fantazji, niż z natury wzięte. W ten sposób zrobił Kościuszkę stary *Ludwik Marteau*, pastelista i pensjonarjusz królewski, siedzący w Warszawie jeszcze od czasów Augusta III. Portretował on pastelami wszystkich gości obiadów czwartkowych króla Stanisława Augusta (wydanych później w litografjach przez Mintera), a portret Kościuszki rozpowszechniony przez miedzioryt *Schleicha*, augsburgskiego rytownika, nie odbiega od ogólnie przyjętego przez Marteau typu. (Fig. 9) .Twarz tak samo

Fig. 9.



Muzeum Narodowe w Krakowie
Miedzioryt punkt. Schleicha podług Marteau z 1794 r.

pełna, takie same loki po bokach głowy, nawet taka wstęga szeroka na piersiach orderu Białego Orła, którego Kościuszko nigdy nie posiadał, jak na innych portretach gości czwartkowych. Ciekawym za to jest na tym portrecie żupan z dużymi guzami i kontusz z wysokim kołnierzem i wylotami.

Nie razi nas jednak to tak bardzo, jak n. p. zagraniczne tego rodzaju próby. Jak tam pojmowano polski strój narodowy, dowodzą tego choćby portrety Jana III., Augusta II. i Pułaskiego, niezgrabne, a dla nas wprost śmieszne. Nie oszczędzono i Kościuszki. Nieznany bliżej artysta niemiecki, *Franciszek Hütteman* robi 1794. portret Kościuszki, sztychowany później przez *Henryka Jan-Penningh*, ubranego w kontusz z wylotami

szerokim pasem, a do tego dodaje mu rzemień od ładownicy przez piersi, małe wąsiki i duży kapelusz. Na sztychu *Bojanowa* podług rysunku *Marozińskiego* z Warszawy widzimy Naczelnika z laską dowódcy w ręku. Inny znów, nieznany bliżej artysta, rytuje popiersie Kościuszki nietylko niepodobne, ale nadto z jakąś czapką czy turbanem na głowie, ubranym w pióra strusie i bogate sznury pereł, co zapewne ma wyobrażać konfederatkę. Znowu inna rycina, publikowana u *Wernera & Hood* w Londynie 1795, przedstawia Kościuszkę niby kozackiego watażkę, stojącego na tle krajobrazu w czapce i futrze z głęboko odkrytą szyją, z szablą w ręku.

III. Z szablą do góry wzniesioną.

Queneday. — Łęski. — Gröll.

Tego rodzaju, jak poprzednio opisane produkcje artystyczne i nieartystyczne, nie miały innego celu, jak zaspokojenie ciekawej publiczności i były obliczone na zysk, przez artystów, którym podobne sensacje, jak powstanie polskie, były bardzo na rękę. Przyczyniały się jednak ogromnie do spopularyzowania imienia Kościuszki. Swoją drogą i sam Kościuszko, o ile był skromny i unikał pozowania, o tyle wtedy, gdy stawał na czele narodu, pragnął, aby go ten Naród znał i jego rysy zapamiętał. W tym celu, kiedy zrozpaczony drugim rozbiorem Polski, wziął dymisję i udał się za granicę, bawiąc w Paryżu w celach agitacyjnych, kazał się w zakładzie *Quenedaya* portretować a następnie sztychować, a całe masy odbitek wziął zapewne ze sobą do kraju.

Opowiada nam Chodźko w swych pamiętnikach, że podczas zdejmowania portretu przez Quenedaya, towarzysz Naczelnika, Mostowski zauważył, że Kościuszko ze swymi długimi włosami i brakiem zarostu na twarzy, wygląda raczej na księdza, niż na jenerała, i że lepiejby mu było wziąć szablę do ręki. Kościuszko uznał to za stosowne i w ten sposób powstała ta rycina, która kopjowana niezliczoną ilość razy, stała się najpopularniejszym naówczas portretem w Polsce.

Opowiadaniu Chodźki, wyżej przytoczonemu w którem, jak Chodźko zapewnia, powtarza tylko to, co mu sam Chretien, wspólnik Quenedaya powiedział, niedowierza prof. Korzon — z jakiej przyczyny, tego nie mówi — dla nas jednak jest rzeczą ważniejszą, że mamy trzy ryciny Quenedaya z portretem Kościuszki, zupełnie odpowiadające opowiadaniu Chodźki. Queneday i Chretien, artyści paryscy wynaleźli wspólnie pewien mechaniczny sposób portretowania, t. zw. fizjonotrację. *)

Otrzymane zdjęcia sztychowali albo sami, albo ich pomocnicy, zwykle manierą punktowaną lub aquatintą. Z tego względu i portrety Kościuszki, przez nich robione, możemy uważać za bardzo wierne podobizny. Jest ich trzy, jedna aquatinta przez *Quenedaya* robiona z popiersiem bez szabli, rzeczywiście na jakiegoś duchownego wyglądającym, druga, miedzioryt punktowany owalny, robiony z fizjonotracji Quenedaya przez *Delanaux* z popiersiem Kościuszki, trzymającego wzniesioną w obu rękach szablę, jakby wypowiadającego słowa niżej wypisane: *„Pozwól jeszcze raz bić się za Ojczyznę“*. **) Tej ostatniej rycinie (Fig. 10.) nie

Fig. 10.



Muzeum Narodowe w Krakowie
Miedzioryt punkt. przez Delanaux podług fizjonotracji Quenedaya z 1793 r.

można odmówić ani wielkiego artyzmu, ani większego jeszcze podobieństwa rysów. Wyraźny rok na niej umieszczony 1793 i podpis Quenedaya potwierdza z jednej strony podanie Chodźki, z drugiej strony przeczy wszystkim, którzy twierdzą, że jest to typ przysięgi Kościuszki na rynku krakowskim 1794 r., lub co jeszcze mniej do wiary podobne,

*) Sposób ten, o ile można wiedzieć, polegał na silnem oświetleniu twarzy w profilu, tak, żeby na przygotowanym z tyłu ekranie wyszła ostra i wyraźna sylwetka, którą natychmiast należało utrwalić ołówkiem lub pędzlem.

**) Trzeci sztych, zupełnie podobny, lecz okrągły i bez podpisu artysty, widziałem w bibljotece ordynacji hr. Zamojskich w Warszawie. Pochodzi on z daru samego Kościuszki i jest nadzwyczaj piękny i rzadki.

wyobrażenie przysięgi składanej przez młodego Tadeusza w szkole kadetów w 1766 roku. Błędne, mniemania o tym portrecie były już wówczas prawie powszechne, bo nawet Mickiewicz, opisując obrazy na ścianach wiszące w pokojach sędziego w „Panu Tadeuszu“, mówi:

„Tu Kościuszko z oczyma podniesionemi w niebo miecz oburącz trzyma. Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie“.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Odrodzenie Litwy wobec Idei polskiej. Józefa Albina Herbaczewskiego.

Książka p. H. rzuca wiele światła na zawiłą kwestję polsko-litewską. Nie zapoznaje autor wcale, że szowinizm narodowy może wywołać wiele przykrych scen, ale radzi, aby z zimną krwią przystąpiły oba narody do zastanowienia się nad kwestją litewsko-polską, póki jeszcze jest czas, i zamiast zajadłe toczyć walki między sobą, ku radości wrogów naszych, pogodziły się do wspólnego dzieła — Wolności.

W książce swej przedstawia nam p. J. Herbaczewski dokładnie historję obecnego ruchu litewskiego.

Rosja urzędowa, która dużo obiecywała Litwinom, aby zniszczyć po 63 roku Polaków na Litwie, gdy dopięła częściowo swego dzieła i zobaczyła, że sprawa litewska dla niej staje się groźną, pokazała swe szpony. Kiedy po ukazie drukowania grażdanką a zabronieniu alfabetu łacińskiego Litwini przenieśli swoje pisma do Tylży, w pruskiej Litwie, i stamtąd szerzyli swoje idee, to rząd pruski podmówiony przez Rosję, wbrew woli obywateli Tylży, wydalił emigrantów za granicę. I długo tułała się myśl litewska po angielskich i amerykańskich miastach, aż teraz dopiero powróciła na glebę ojczystą (w Wilnie wychodzą obecnie dwa pisma litewskie). Litwini, jak każdy naród, posiadają rozmaite partje. Posiadają Litwini grupę analogiczną do polskich pozytywistów, o małej ilości zwolenników, partję klerykalną z różnymi odcieniami, narodową i socjalistyczną (L.P.S.). Wszystkie te partje mają jeden zasadniczy cel — oświatę ludu — i dążą do niej dość zgodnie, chociaż staczają między sobą ostre polemiki i w wielu kwestjach silnie się różnią, a zwłaszcza w stosunku do Polski i Polaków. Jedne z nich odnoszą się do Polski obojętnie, drugie wręcz nienawistnie, głosząc hasło: Litwa dla Litwinów, inni zaś pragną, „jednością silni“, obalić silnego wroga.

A jakież stanowisko zajmuje sam autor? Autor jest „nadpartyjnym“, jednakowoż skłania się ku idei Witołdowej, jest za separatystyczną i niepodległą politycznie Litwą w unji z niepodległą politycznie Polską. Marzy także o zlitewszczeniu szlachty, bo „tylko w połączeniu kultury ludowej z kulturą szlachecką, trzeba szukać prawdziwej idei narodowej“ a „im więcej jest różnorodna dusza narodowa, tem potężniejszą jest kultura we wszystkich przejawach narodowego życia“.

Myślą przewodnią autora, jest oświatą i zrozumieniem interesów obu narodów, zażegnaniem sporów wywołanych i prowadzonych ku radości wrogów osiągnąć wolność, a hasłem: „Niech ciemiężeni łączą się nie przeciwko ciemiężonym, ale przeciwko ciemięzcom!“ Zewnętrzny wygląd książki bardzo sympatyczny. Okładka: staropolski drzeworyt, wyrażający herb polsko-litewski. Tłoczono w drukarni Uniw. Jagiellońskiego.

Lesław Julinicz.

ZAPISKI.

Dwie rocznice. W bieżącym roku i prawie równocześnie obchodzi świat cały trzechsetną rocznicę Cervantesa i setną rocznicę Schillera. W ojczyznach tych dwu potentatów duchowych, w Hiszpanji i w Niemczech, uroczystości na cześć nieśmiertelnego autora „Don Kiszota“ i również nieśmiertelnego twórcy „Zbójców“ i „Wilhelma Tella“ stały się świętem narodowem, a świat cały i prasa nawet ta codzienna, chwilą tylko bieżącą żyjąca prasa, wtóruje świętu owemu całym szeregiem wspomnień bjograficznych, notatek, rozbiorów literackich. Dzieła nieśmiertelnych geniuszów stały się własnością ogólnoludzką, wywarły wpływ przepotężny na całe pokolenia, więc też i słusznie świat cały wspomina ich rocznicę i przyznaje się do ich dorobku.

Ale dwie rocznice, aczkolwiek tak dalekie od siebie chronologicznie i topograficznie, mają przecież wspólne tło i jeden węzeł, który połączyć zdoła na chwilę wszystkie ludy. Jest nim ta czysta, szlachetna poezja, która płynie z dzieł obu pisarzy, prawda, której oni hołdowali i wiecznotrwałe ludzkie ideały, na których uczą się pokolenia czcić co wielkie i dzielne, co nieśmiertelne. Z najczystszych źródeł płynący zdrój poezji, chwała piękna wielkiego i wzniosłego, trwają wieki — zniknie to tylko, co chwilowe, z niskich pobudek płynące, to, co się sprzeciwia duchowi ludzkiemu i kajdanami go spętać usiłuje. Im bardziej czasy i ludzie oddalać się będą od tych ideałów, tem jaśniej one świecić będą ludzkości, tem bliższy czas, kiedy ludzkość we własnym interesie będzie zmuszona do nich powrócić. I jeżeli dzisiejsze Niemcy kroczyć będą dalej na drodze barbarzyństwa i ucisku, to tem wydatniej wystąpią ideały takiego Wilhelma Tella i zmiotą z powierzchni ziemi to, co złe, samolubne, co jest hańbą dzisiejszego wieku.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.